



# STUART B. MACBRIDE

## UBEZWŁASNOGŁOWIENI

*Świetna, przerażająca i brutalnie inteligentna książka. Thriller, który mrozi krew w żyłach.*

Michael Marshall

Tytuł oryginału: Halfhead

Tłumaczenie: Wojciech Białas

Projekt okładki: ULABUKA

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

ISBN: 978-83-283-2526-5

Originally published in the English language by HarperCollins Publishers Ltd. under the title Halfhead © Stuard MacBride 2009.

The author asserts the moral rights to be identified as the author of this work.

Polish edition copyright © 2016 by Helion SA.

All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

## 2

— Dowództwo, tu Delta czternaście, odbiór.

— *Słyszymy cię, Delta czternaście. Możesz zaczynać.*

— Jacobs, ubezpieczasz mnie, Phillips, obstawiasz wejście. Ja idę pierwsza. Trzy, dwa, jeden... — Ciężkie, plastikowe drzwi huknęły o ścianę toalety i w całym niskim, cuchnącym pomieszczeniu momentalnie zaroilo się od much. — Ruchy! Ruchy! Ruchy!

Jacobs wpadł do środka, mierząc ze swojego miotacza polowego we wszystkich kierunkach naraz. Phillips został na zewnątrz, w korytarzu, zwrócony w stronę drogi, którą przybyli, osłaniając wejście. Detektyw sierżant Cameron biegiem dopadła do ustępu i... zatrzymała się z poślizgiem na zakrwawionych kafelkach. Przez siedem lat służby w policji nigdy nie zdarzyło się jej jeszcze widzieć czegoś takiego. Jedna z kabin była całkowicie wysmarowana czymś ciemnym i lepkiem. To coś było kiedyś człowiekiem.

— Dowództwo... — Odwróciła się tyłem do zmasakrowanych szczątków. — Mamy problem.

\* \* \*

— Czy ktoś może mi powiedzieć, co to jest? Ktoś chętny? Tak, Sophie?

Mała dziewczynka w neonowym niebieskim płaszczyku opuściła rękę, szczerząc się jednocześnie tak, że widać było wszystkie szczyrby. — To zły człowiek.

— Tak jest, Sophie! — Nauczyciel się uśmiechnął. To były dobre dzieciaki. — A czy ktoś potrafi mi powiedzieć, *dlaczego* niedobrym ludziom obcina się połowę głowy?

Bez jednej chwili zastanowienia wszystkie dzieci, cała dwunastka, zaczęły się przekrzykiwać i podskakiwać:

— Bo byli niegrzeczni!

Trzeba uczciwie przyznać, że ubezwłasnowłoniwiony, któremu się przypatrywali, wcale nie wyglądał na szczególnie niegrzecznego, ot, jeszcze jeden biedak, który nigdy już nie będzie sprawiał problemów. Człowiek z połową twarzy, usmażonym mózgiem i z kodem kreskowym wytatuowanym na czole. Przemieszczał się powoli po hallu wejściowym, pucując mopem marmurową podłogę na wysoki połysk. Mała grupka szła za nim krok w krok, nie zwracając uwagi na bezcenne dzieła sztuki spoglądające ze ścian. Trafili na coś dużo ciekawszego. Niektóre dzieci robiły miny, szczerząc górne zęby, wciągając do tyłu podbródki i wywracając oczami. Jedno albo dwoje z nich udawało, że szorują podłogę specjalnymi, niewidzialnymi mopami. Ich wyobrażenia była naprawdę godna podziwu.

— No dobrze — podjął nauczyciel, skręcając w rogu korytarza. — A jak myślicie, co takiego uczynił ten zły człowiek? Nigel, jak sądzisz? Co zrobił?

Nigel przez dobrą minutę wpatrywał się we własne buty.

— Cy on znęcał się na cymś kotem?

— Noo, to by było naprawdę niegrzeczne zachowanie, prawda?

— Taaak! — wykrzyknęły dzieci.

— Przepraszam. — Głos należał do elegancko ubranego mężczyzny, czekającego na windę.

— Momencik. Dzieciaki, co odpowiemy temu miłemu panu?

— Że nie rozmawiamy z obcymi!

— Tak jest! — Nauczyciel odwrócił się do dżentelmena w granatowym garniturze z szerokim uśmiechem na twarzy. — Czyż nie są inteligentne?!

Mężczyzna milczał przez krótką chwilę, po czym odparł:

— Rozkoszne.

— Lubimy tu przychodzić i oglądać wszystkie te piękne obrazy, prawda?

— Taaak!

Na twarzy nieznajomego po raz pierwszy zagościł uśmiech. To jasne, że dzieci nakłoniły go do rezygnacji z początkowego dystansu. W ciągu kilku sekund sprawiły, że nieznany im wcześniej człowiek stał się ich przyjacielem. Były pod tym względem wspańnięte.

— Przez przypadek podsłuchałem pańskie pytanie o to, co uczynił ten kryminalista.

Nigel aż podskoczył, wymachując wysoko uniesioną ręką, próbując za wszelką cenę znaleźć się ponownie w centrum uwagi.

— Znęcał się nad cymś kotem!

Nieznajomy wyciągnął rękę i zmierzwił mu włosy, wywołując na twarzy chłopca jeszcze radośniejszy uśmiech.

— Dokładnie tak. Wielu z nich od tego zaczyna. Zanim się rozkręca. — Mężczyzna przykucnął i puścił oko do otaczających go dzieciaków. — Ćmy, żaby, koty, psy... Ten tutaj zajął się następnie małymi chłopcami. Lubiał obcinać im palce, jeden po drugim, a potem wtykać im je tam, gdzie słońce nie dochodzi.

— Ojej! — mała dziewczynka pociągnęła nieznajomego za rękaw. — Czy wsadzał im je do nosa? Co? Bo Nigel *zawsze* wpycha palce do nosa.

— Wcale nie! Plosę jej nie słuchać, ona jest gupia.

— Wcale nie!

— Właśnie ze tak!

— Yyy... to chyba zupełnie stosowne. — Nauczyciel po raz pierwszy uświadomił sobie, że oczy nieznajomego wcale się nie uśmiechają. Co więcej, przyjrawszy mu się *dokładniej*, dostrzegł, że jest w nim coś zdecydowanie złowrogiego. — Chodźcie dzieci, musimy... yyy... musimy już iść. — Zebrał wszystkie dzieciaki w grupę, próbując uchronić je przed niebezpieczeństwem, ale ten okropny człowiek nie przestawał mówić.

— Następnie, kiedy chłopcy stracili już wszystkie palce u rąk, zabierał się do obcinania palców u stóp. Jeżeli mieli szczęście, umierali

na skutek wstrząsu. A jeśli nie, to cały czas jeszcze żyli, kiedy rozcinał im brzuchy. Kuchennym nożem.

— To obrzydliwe! Jak pan śmie!

Drzwi windy piknęły, otwierając się na oścież, i mężczyzna wykonał krok w tył, pakując się do środka.

— Kiedy go złapaliśmy, znaleźliśmy zwłoki piętnastu chłopców pogrzebanych pod podłogą jego domu i kolejnych trzech ukrytych w zamrażarce. — Wyraz twarzy nieznanego nabrał nieprzyjemnego charakteru, a jego spojrzenie było wycelowane prosto w oczy nauczyciela. — Lepiej o tym pamiętaj, kiedy następnym razem zbierze ci się na gówniane żarty.

Rozległ się melodyjny dzwonek i drzwi zaczęły się zamykać.

— Jak ci na imię? Złożę zażalenie do twoich przełożonych!

Stuk. Winda ruszyła z głuchym warkotem, unosząc ze sobą tego strasznego człowieka i jego okropne opowieści.

\* \* \*

Siedząc wygodnie w przeszklonej kabinie, okropny człowiek w granatowym garniturze uniósł dłoń i aktywował umieszczony na szyi mikrofon.

— Dowództwo, tu Hunter, powiedzcie mi, że windy dla personelu zaczną za chwilę znowu działać, *proszę!*

W umieszczonym wewnątrz ucha odbiorniku zaterkotał głos:

— *Przepraszam, ale obsługa wciąż nad tym pracuje. Nie chcę nam powiedzieć, kiedy się z tym uporają.*

— A to niespodzianka. — Na zewnątrz kabiny Glasgow smażyło się w upale, czekając na spodziewane opady. Spóźniały się tego roku, a nieznośnie gorące lato ciągnęło się bez końca i wszyscy mieli go już serdecznie dość. Zdawało się, że wszystko, co żywe, ledwo zipie. Dotyczyło to również mężczyzny.

Przyjrzał się własnemu odbiciu rysującemu się na tafli szkła, a widok ten nie napawał go zadowoleniem. Ciemnosine wory pod oczami; dumny, krzywy nos zdobiący twarz, której przydałoby się przynajmniej osiem godzin snu i staranniejsze golenie. W którymś momencie życia

dopadło go zapisane w genach przeznaczenie, przez co szopa niesfor-nych, brązowych włosów zaczęła się przerzedzać, a czoło zdawało się z każdym rokiem sięgać coraz wyżej. Trzeba będzie załatwić sobie przeszczep. Kilka lat można jeszcze poczekać, ale należy zająć się tym odpowiednio prędko.

Oderwał wzrok od szyby, omiatając spojrzeniem zacieniony dziedziniec ośrodka. Tu i ówdzie kępy przywędłych roślin wyczekiwały na piękące, poranne słońce. Ku głównemu wejściu prowadzono właśnie kolejną grupkę dzieci w wieku szkolnym, by wtłoczyć im do głów, jak ważne jest przestrzeganie prawa i porządku. I żeby mogły pooglądać piękne obrazy. Albo tylko po to, by mogły ponabijać się z ubewłasnowłownionych.

Cholerni nauczyciele.

Winda z cichym piknięciem zatrzymała się na trzynastym piętrze i William Hunter wyszedł na korytarz. Ktoś tu już na niego czekał.

— Szefie. — Szeregową Dickson przywitała go energicznym salutem. Zamiast zwykłego dla niej szarego dresu miała na sobie czarny, chromowany uniform, zza pleców zaś wystawał jej ogromny miotacz, niedbale przerzucony przez ramię. Wyrzutnia niemal dorównywała jej rozmiarami, potężne przewody detonacyjne wystawały ponad głowę dziewczyny, a metalowe elektrody dyndały w okolicy kostek.

— Porucznik Brand kazała panu przekazać, że drużyna jest już zebrana i gotowa do działania. — Stała na baczność, a Will nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

— Jesteś pewna, że tak właśnie powiedziała?

— Tak jest.

— Użyła dokładnie tych słów?

Szeregową Dickson unikała jego wzroku.

— Yyy... mniej więcej, proszę pana.

— Wiesz, że mogę to sprawdzić.

Westchnęła.

— Porucznik powiedziała: „Powiedz mu, żeby wziął dupę w troki i stawił się tu ze sprzętem, zanim dam mu takiego kopa, że doleci pod sam Edynburg”. Twarz szeregowej Dickson oblał lekki rumieniec.

— Hmm, w takim razie lepiej nie zwlekać.

Podwójne drzwi na końcu korytarza otwarły się z sykiem, odsłaniając przejście do bazy wypadowej. Will podążył za Dickson, wychodząc na dach, na otwartą przestrzeń. Nagły kontrast między komfortowym, klimatyzowanym pomieszczeniem a rozgrzanym powietrzem na zewnątrz był wprost powalający, sprawiał, że każdy oddech wymagał wysiłku. Mijając wyloty szybów wentylacyjnych, podeszli do oczekującej Ważki.

Śmigłowiec spoczywał na czterech wspornikach hydraulicznych jak jakiś olbrzymi, asymetryczny łoś z poczerńiałej stali. Wszystkie komory uzbrojenia pozostawały zamknięte; tam, dokąd lecieli, ciężka artyleria była zupełnie zbędna.

Kiedy Will i Dickson minęli barierkę odgradzającą ich od maszyny, rozległ się warkot uruchamianych silników, a betonowa nawierzchnia miejsca startowego zafalowała światłowieniem pod wpływem podmuchu powietrza.

Wgramolili się do środka po tylnej rampie, chowając się we względnie chłodnym, przyciemnionym wnętrzu helikoptera. W słuchawce Willa rozległ się znajomy głos:

— *Jak miło, że pan do nas dołączył, panie Hunter...*

— Dzień dobry, pani porucznik. — Will ruszył w głąb kabiny, pozdrawiając mijanych żołnierzy skinieniem głowy i rozglądając się za jakimś wolnym miejscem. Okazało się, że zostawili dla niego miejsce na samym końcu pomieszczenia, tuż obok przejścia prowadzącego do kokpitu, dokładnie naprzeciwko dwumetrowego pojemnika, którego nikt nie chciał mieć przed oczami.

Hunter usiadł i zapiął pasy.

Warkot silnika momentalnie się zmienił, przeskakując o kilka oktaw i przeradzając się w świdrujący skowyt. Hunter poczuł, jak grunt pod jego stopami unosi się, a on wraz z nim, jakby poderwany stalową falą. Ważka oderwała się z impetem od ziemi i odleciała, błyskawicznie zwiększając prędkość.

Lot przebiegał w ciszy — bez żadnego przekomarzania, którego odgłosy wypełniały zazwyczaj kabiny bojowych śmigłowców. Wszyscy



stali spokojnie w swoich przegrodach, rozmyślając o tym, dokąd zmierzają i jak niewiele brakło, by spotkał ich los szeregowego Worralla.

Will próbował stłumić poczucie winy za to, co się zdarzyło. Dlaczego miałby się czuć winny? To nie on nawalił; Worrall nie zachował należytej ostrożności. Worrall zlekceważył procedury. Worrall *musiał* zgrywać bohatera.

Bezmyślny sukinsyn...

Ale wszystko to nie zmieniało faktu, że Will i tak poczuwał się do odpowiedzialności.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

— Chcesz wygłosić przemowę czy wolisz, żebym ja to zrobiła?  
— Głos porucznik Emily Brand brzmiał dużo mniej buńczucznie niż wtedy, gdy Hunter gramolił się na pokład. Ciężar ciała opierała na poręczy otaczającej jego przegrodę, balansując płynnie podczas manewrów młócej wirnikami powietrze Ważki.

Emily była stworzona do tego zajęcia: była szczupła i muskularna, swoje kasztanowe włosy przystrzygała tak krótko, że wyglądało to niemal tak, jakby goliła głowę. Podobnie jak wszyscy jej podkomendni miała na sobie uniform: czarny, skrojony na miarę, z czterema chromowanymi belkami na ramieniu, wskazującymi jej stopień. Zapowiadało się, że pożegnają szeregowego Worralla z pełną pompą.

Will zerknął na metalowy pojemnik.

— Nie musisz się o to martwić. Ja zajmę się gadaniem, jeśli nie...  
— chciał powiedzieć „nie czujesz się na siłach”, ale wiedział, że Emily odbierze to jako wyzwanie. — Ja to zrobię. Bóg mi świadkiem, zajmowałem się tym już naprawdę wiele razy, znam te przemówienia na pamięć.

— Tak. — Odwróciła głowę. — Tak pewnie będzie najlepiej.

Ważka wykonała przechyl, a porucznik Brand wróciła na stanowisko dowodzenia umiejscowione obok pilota, rzucając przedtem niemal niesłyszalne „dziękuję”.

Odprowadziwszy ją wzrokiem, Hunter wyciągnął rękę, by włączyć umieszczony powyżej przegrody monitor. Ekran trzeszczał i szumiał, naelektryzowany pod wpływem pracującego silnika, ale mimo tych

zakłóceń rozpościerający się w dole widok z przedniej komory karabinowej był wciąż rozpoznawalny: Glasgow.

Rzeka Clyde skrzyła się niczym ogrodzenie z drutu kolczastego, meandrując powoli ku morzu, wciśnięta pomiędzy potężne wały, które dzieliły miasto na dwie części i otaczały je szczelnie ze wszystkich stron. Tylko dzięki nim Ocean Atlantycki i Morze Północne nie zdołały jeszcze pochłonąć całego tego obszaru. W tej części miasta, która znajdowała się na południowym brzegu rzeki, zaszły duże zmiany; nie było już ani śladu po wspaniałych „rewiwalistycznych przedsięwzięciach architektonicznych” i modnych dzielnicach o elewacjach z piaskowca. Wszystko było tu z betonu, styropianu i industrialnego plastiku, tworzyło szarą panoramę stłoczonych blokowisk spieczonych lejącym się z nieba żarem.

Will obserwował, jak promienie słońca liznęły okna gigantycznego bloku, zapalając w nich blask, który oświetlał ten przygnębiający, kanciasty krajobraz niczym ostrzegawcza latarnia. Który dawał do zrozumienia: „Trzymaj się z dala”. Hunter poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu zimny dreszcz. Nie trzeba mu było powtarzać.

— *Mamy w zasięgu miejsce do posadzenia śmigłowca, lądujemy za trzy sekundy.*

Poczuł szarpnięcie uprzęży, kiedy silniki Ważki zawyły po odwróceniu ciągu, wskutek czego maszyna zatrzęsała się i zawisła nieruchomo w powietrzu. Nieważne, jakie mieli zadanie, ci ludzie i tak zawsze pilotowali te śmigłowce tak, jakby ruszali na pole bitwy.

Z słuchawki dobiegło Willa słowo „dupek”, po czym sygnał uległ przerwaniu.

W kokpicie porucznik Emily Brand spierała się z kimś przez komunikator — Hunter nie potrafił wychwycić poszczególnych słów, ale ton rozmowy był jasny. Wyglądało na to, że kobieta jest na przegranej pozycji.

W końcu głośniki zatrzęszczały i rozległ się jej głos:

— *Sorry, ludzie, zmiana planów. Gliny potrzebują wsparcia i zespołu z Centrum Przeciwdziałania Zagrożeniom. To znaczy nas. Żadna inna*

*jednostka nie jest w stanie się zaangażować. Wiem, że to główniany układ, ale takie są rozkazy. Włączać silnik. Pogrzeb szeregowego Worralla będzie musiał poczekać.*

Śmigłowiec poderwał się w powietrze, ponownie rozległ się ryk silnika. Will patrzył, jak ładna część miasta znika z ekranu monitora, zamiast niej mógł za to teraz oglądać betonową dżunglę. Zmierzali prosto w stronę pełnego wysokich budynków blokowiska.

— O nie...

— *Słuchajcie, ludzie, wkraczamy w trudny rejon, są tam już gliny, więc niech nikogo nie swędzą łapy, żeby sobie postrzelać, i żadnego kozaczenia! Wolalabym, żeby nie przybyły nam tu na pokładzie żadne kolejne zwłoki.*

Prawie wszyscy zerknęli ukradkowo na pojemnik przymocowany naprzeciwko przegrody Willa.

— *Nasz cel to męski kibel, w hallu przy głównym wejściu w Sherman House.*

O nie. Nie, nie, nie, nie, nie... Dłonie Huntera zacisnęły się mocniej na poręczy, nagle stały się chłodne i wilgotne. W kabinie zrobiło się głośno od przekleństw rzucanych przez żołnierzy utyskujących po usłyszeniu informacji o planowanym celu. Ale to nie był koniec złych wiadomości.

— *Wicedyrektor sekcji Hunter dowodzi grupą operacyjną. Każdy, kto nie zastosuje się dokładnie do jego poleceń, kto nie zabierze się do ich wykonywania od razu po usłyszeniu rozkazu, z miejsca odczuje, że to jego najgorszy dzień. Zrozumiano?*

Will ledwo dosłyszał chóralne, pozbawione entuzjazmu „tak jest”. Ze wszystkich sił starał się nie zwymiotować.

— *Nie dosłyszałam!*

Stalowe ściany zadrżały od ogłuszającego ryku.

— Tak jest, pani porucznik!

— *Tak lepiej. Szacunkowy czas pozostały do przybycia na miejsce działania to dwie i pół minuty. Radzę wam sprawdzić, czy broń jest gotowa do użycia i czy macie pełne magazynki. U wszystkich chcę widzieć pancerze! Jak kogoś zobaczą bez pancerza, to osobiście go odstrzelę.*

Do uszu Huntera zewsząd dolatywały odgłosy sprawdzanych wyrzutni i karabinów, pograżone w półmroku wnętrze kabiny wypełniła teraz intensywna zielona poświata laserowych celowników.

Will włączył swój mikrofon i zapytał, starając się ze wszystkich sił, by jego głos brzmiał spokojnie, co, do diabła, strzeliło do głowy porucznik Brand, że postawiła go na czele grupy wsparcia. Że wysyła go w sam środek akcji.

— *Dobrze ci to robi.*

Will zamknął oczy i zazgrzytał zębami. To samo słyszał już od różnych, bardzo dobrze opłacanych typów z drogimi, skórzanymi kanapami i dyplomami z psychologii. Jeśli nie stawisz czoła swojemu lękowi, nigdy się od niego nie uwolniesz. Im zresztą też nie uwierzył.

— *Za minutę jesteśmy na miejscu, ludzie. Wszystko ma pójść płynnie i czysto. Wpadamy i wypadamy. Nie robimy przedstawienia. Żadnych problemów.*

Było już za późno, żeby się wycofać, i Hunter zdawał sobie z tego sprawę. Popsułyby reputację porucznik Brand w oczach jej podwładnych, nie mówiąc już o *swojej* reputacji.

Kurwa. Kurwa jego mać...

Dzięki, Emily. Wielkie dzięki.

Wyciągnął swój paralizator z umieszczonej pod ramieniem kabury i sprawdził, czy akumulator jest w dalszym ciągu w pełni naładowany. Mały owalny dysk mieścił się w dłoni, a wskazówka umieszczonego na wierzchu pokrętła była ustawiona na typowe „ciężkie porażenie”.

To, że miał się ponownie znaleźć w Sherman House, nie oznaczało wcale, że historia musi się powtórzyć. Poza tym *teraz* miał ze sobą wsparcie w postaci uzbrojonej po zęby brygady szturmowej. Nie było się czym przejmować. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważy się zaatakować sześciu zawodników wybranych spośród najlepszych żołnierzy Organizacji. Byłoby to samobójstwo. Szaleństwo.

Przekreślił się niespokojnie w uprzęży; lokatorzy Sherman House raczej nie słynęli ze zdrowej psychiki.

Srał to pies. Will zgarnął ze stojaka-ładowarki jeden z blasterów. Aktywując kciukiem wskaźnik mocy, poczuł pod palcami chłód pla-

stikowej obudowy karabinu. Rozbłysły kontrolki parametrów, wskazując, że bateria jest w stu procentach naładowana, a broń jest gotowa, by roznieść na strzępy wszystko, w co zostanie wycelowana. Dzięki niej miałby przynajmniej okazję, by zabrać ze sobą kilku z tych sukinsynów na tamten świat.

— *Popatrzcie, ludzie, mamy obraz.*

Plac Potworności wypełniał cały niewielki, zawieszony naprzeciw Willa ekran. Cztery ogromne bloki, w każdym jednym po sześćdziesiąt tysięcy stłoczonych lokatorów. A to nie koniec złych wieści — po tej stronie rzeki rozciągało się jeszcze jedenaście identycznych placów; połowa z nich została odbudowana po zamieszkach.

Niech Bóg ma Glasgow w swojej opiece, jeśli mieszkańcy tej dzielnicy wkroczą na wojenną ścieżkę.

Znowu.

Obraz na ekranie rozmazał się w trzasku zakłóceń, gdy Ważka rozpoczęła decydujące podejście, opadając jak kula wystrzelona z armaty.

Porucznik Brand ruszyła w stronę komory zrzutowej, szykując się do lądowania, podczas gdy śmigłowiec zaczął wykonywać skręty i obroty — po to, by nie stać się łatwym celem. Kobieta przeszła przez całe pomieszczenie, sprawdzając, czy wszyscy członkowie grupy pozakładali pancerze, a potem zarzuciła ich komendami.

— Nairn, Dickson, Wright, jesteście na szpicy. Floyd, trzymasz tylną straż. Beaton, ty i Stein zajmiecie się monitorowaniem sytuacji na komputerach. Reszta tworzy defensywny krąg wokół Ważki. — Na moment zapadła cisza, w której ludzie z eskorty Willa powypinali się z uprząży. — Skoncentrujcie się, ludzie, to już nie są ćwiczenia.

Silniki przeszły gwałtownie na wsteczny ciąg. Stało się: Sherman House, dotarli na miejsce.

O Boże...

Tylna rampa opadła, jeszcze zanim podwozie dotknęło asfaltu, a do wnętrza maszyny wdarły się ostre promienie porannego słońca.

Emily skinęła głową: gra rozpoczęta.

— Ruchy, ludzie!

Czterech komandosów utworzyło błyskawicznie ochronną barierę wokół helikoptera, ciągnąc za sobą zwoje drutu, wyglądali jak zakute w zbroje pająki. Zaczęli skanować zatłoczony plac, rozglądając się za potencjalnymi celami dla swojej ciężkiej artylerii, a słońce odbijało się w ich pancerzach. Mieszkańcy bloków zamarli w bezruchu, jak figury woskowe, gapiące się w milczeniu. Nieprzyjazne.

Straż przednia zbiegła po rampie w stronę najbliższego monolitu, a tłum rozstępował się przez żołnierzami jak morze nikomu niepotrzebnej hołoty.

Widząc trzech szturmowców Organizacji znikających we wnętrzu Sherman House, Will wzmocnił uchwyt trzymanego w rękach blastera. Portal wejściowy był kiedyś spektakularny i potężny: ściana chromu i szkła akrylowego wielkości boiska do piłki nożnej, cyzelowane marmurowe cokoły oraz najmodniejsze rzeźby, jakie można kupić za państwowe pieniądze. Ale szkło już dawno straciło swój blask.

Nie było już śladu po roztańczonych figurkach z brązu, po zwierzętach z nakrapianej stali ani nawet po granitowym kaszalocie oryginalnych rozmiarów. Wszystko przepadło podczas rozruchów — rozbite w drobny mak przez ataki z powietrza i ostrzał z wyrzutni. Zostały jedynie ich poczerwiałe kontury.

Kiedy w słuchawce zatrzeszczał komunikat, że droga wolna, Will zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

To był *bardzo* zły pomysł.

— No dalej — powiedział, zniżając głos tak bardzo, by nikt inny nie mógł go usłyszeć. — To dla twojego własnego dobra. — Wykonał pierwszy krok na rampę, po czym stanął. W uszach słyszał dudniące tętno, oddychał bardzo płytko, czuł skurcze brzucha i suchość w ustach, a jego ręce ściskające wyrzutnię dygotały.

Beaton i Stein stali tuż za nim, szamocząc się z nieporęcznym urządzeniem do skanowania — pojemnikiem wyglądającym zatrważająco podobnie do trumny szeregowego Worralla. Oczekiwali, że Hunter przejmie inicjatywę.

W przymocowanym wewnątrz ucha odbiorniku rozległ się głos porucznik Emily Brand.

— *Czekasz na specjalne zaproszenie?*

Will przekroczył próg, wychodząc prosto pod ostre promienie słońca. Czuł się, jakby wchodził do pieca z brzuchem nafaszerowanym dwutonowym balastem. Sherman House...

Na jego czoło wystąpiły krople potu.

Z placu spoglądały na opancerzonych szturmowców gniewne, milczące twarze. Większość miejscowych miała na sobie kolorowe ciuchy będące mieszanką wielu stylów, które były na topie przed dwoma laty, ale trafiali się i tacy, którzy nosili obcisłe, formalne stroje, modne jeszcze rok wcześniej. Po tej stronie rzeki podchodziło się do mody z dystansem.

Na wyższych piętrach zebrało się więcej złowrogo spoglądających tubylców. Obserwowali. Czekali, aż znowu nastanie ciemność i ponownie popłynie krew.

Will wzmoenił uchwyt na blasterze i pomaszerował po wyblakłym od słońca asfalcie, ze wzrokiem utkwionym sztywno na wprost. Budynek potężniał z każdym kolejnym krokiem, aż zajął mu całe pole widzenia.

Zebrany tłum wciąż tylko stał, a ich wielobarwne fatałaszkę łopotały pod wpływem podmuchów wywołanych przez silniki Ważki.

Już tylko pięć kroków. Cztery. Trzy. Dwa... Will popchnął porysowane, ufajdane drzwi i wszedł do słabo oświetlonego atrium.

Ogromna, wykonana ze szkła przednia ściana niemal całkiem straciła przezroczystość. Była teraz kłębowiskiem popękanych szyb i ponurych plastikowych płyt. Emaliowane panele porastała zielonkawa pleśń, pogrążając całe to olbrzymie pomieszczenie w półmroku.

Powinno być tu chłodniej, ponieważ do środka nie docierał żar słońca, ale wcale tak nie było.

Wszędzie dookoła stały setki milczących ludzi, którzy robili dokładnie to samo, co tłum na zewnątrz. Gapili się.

Beaton i Stein z impetem wpadli przez znajdujące się za plecami Huntera drzwi, ciągnąc za sobą swój sprzęt do badania miejsca zbrodni. Tyły zabezpieczał im szeregowy Floyd. Will aktywował mikrofon na szyi.

— Jesteśmy w środku.

— *Rozumiem. Personel bariery ochronnej, przygotujcie się odlotu za pięć, cztery, trzy...* — Z zewnątrz dobiegł przytłumiony ryk silników, kiedy Ważka oderwała się od asfaltu i rozpędziwszy się, zajęła pozycję w bezpiecznej odległości.

Byli zdani na siebie.

Will skinął głową w stronę otaczającej go szóstki uzbrojonych po zęby mężczyzn i kobiet.

— Jedziemy.

Sierzant Nairn poprowadził grupę do wnętrza budynku, kierując się w stronę ubicacji. Tłum gapiów podążał krok w krok za szturmowcami. Jednak żaden z miejscowych nie podchodził na bliżej niż na dwa metry, jak gdyby taka odległość stawiała ich poza zasięgiem miotaczy i blasterów.

Kiedy dotarli do schodów prowadzących na półpiętro, Will poczuł, jak po plecach spływa mu pot. Nie był pewien, czy powodem był upał, czy powrót do Sherman House, ale wrażenie było okropne. Miał raczej, że nie chciał tu przychodzić.

U szczytu schodów główny hall rozbiegał się na obydwie strony, tworząc krąg wokół wewnętrznego dziedzińca budynku. Miejsce to miało być w założeniu zieloną oazą w środku miejskiej dżungli. Jednak można było dostrzec, że wyglądało bardziej jak wysypisko śmieci.

Okazało się, że ubicacje znajdują się obok szybów windy.

— Sierzancie Nairn — Will wskazał na porysowane, niebieskie drzwi — macie razem z Floydem i Wrightem obstawiać wejście. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi bez mojej zgody.

— Zrozumiałem. — Nairn i jego szturmowcy zajęli pozycje z bronią wycelowaną w zgromadzony tłum. Najbliżej stojący mieszkańcy poprzesuwaliby się niezgrabnie, ale szeroka na dwa metry strefa buforowa nie uległa zmianie.

— Dickson, idziesz ze mną. — Will popchnął drzwi i wszedł do środka, mrugając pod wpływem szczypiącego w oczy odoru amoniaku. Do diabła, ależ tu śmierdzi: zjełczałe szczyny doprawione kałem i potem. Hunter stanął jak wryty i sapnął. Boże, można było nawet *poczuć smak* w ustach...



Usłyszał za sobą przekleństwo rzucone przez Dickson.

Trzy osobne kabiny ubikacyjne, męska, damska i dla osób niepełnosprawnych, zajmowały każda jedną ze ścian. Beaton i Stein wstaczyli sprzęt badawczy do korytarza.

— Jezu, Dickson, śmierdzi tu gorzej niż u ciebie na chacie.

— Spieprzaj, Stein. — Szeregowa zmieniła chwyt potężnego miotacza, w cuchnącym powietrzu rozległ się terkot rotorów, a elektrody zadygotały.

Drzwi do męskiej kabiny były lekko uchylone. Zatykając dłonią nos i usta, Will otworzył je na całą szerokość.

— Kurwa, co jest? — Potężna kobieta w charakterystycznym uniformie z mosiężnymi guzikami, noszonym przez dzielnicowych, wyszarpnęła połowy paralizator przypięty do biodra. Will ledwo zdążył się uchylić, kiedy zyzzak błękitnego wyładowania przeskoczył nad jego głową, trafiając prosto w szeregową Dickson.

Rozległ się zduszony pisk i całe ciało żołnierki przebiegł paroksyzm skurczu, wyrzucając ją w powietrze. Kiedy huknęła o przeciwległą ścianę, wygarnęła ze swojego miotacza, rozwalając część betonowej podłogi tak, że została z niej tylko gęsta chmura chrzęszczącego pyłu.

Wejściowe drzwi walnęły o ścianę i do środka wpadł sierżant Nairn, a laserowy celownik jego miotacza zaznaczył wyraźną, zieloną smugę w obłoku betonowych drobinek.

— NA ZIEMIĘ, W TEJ CHWILI!

— NIE STRZELAĆ! — Will poderwał się, a potem zamarł, kręcąc rękoma wiatraka, z jedną stopą zawieszoną tuż nad krawędzią wielgachnej dziury, której wylot znajdował się w jakimś pomieszczeniu gospodarczym piętro niżej. — Cholera... — Zatoczył się w tył. — Jesteśmy po tej samej stronie!

Kobieta trzymająca gigantyczny paralizator pozostała na swoim miejscu, celując lufą broni prosto w jego twarz.

— Udowodnij.

— OK. Wezmę... — Odkasznęła, wyrzucając z płuc kłęb betonowego pyłu. — Sięgnę teraz do kieszeni i wyciągnę legitymację. Nikt nie ma nic przeciw?

Kobieta nie zaprotestowała, więc Will wyjął niewielki plastikowy prostokąt z portfela i wyciągnął go w jej kierunku. Hologram widniejący na przedniej stronie wyglądał, jakby ktoś spłoszył szympansa, ale wydawało się, że odniósł pożądany skutek.

— No, no, proszę, proszę; sam wicedyrektor sekcji, jak Boga kocham. Czego szuka tu Organizacja? — zapytała. — Myślicie, że jesteśmy biednymi, nierozgarniętymi glinami i że jak nie będziecie nas trzymać za rączkę, to coś schrzaniemy?

— Sami prosiłście o specjalistyczne wsparcie, OK? Uch... — Skrzywił się i wypluł kurz. — A tak na marginesie, to moim zdaniem cholernie głupio, że obcięli wam budżet, *ponownie*. Niby jak macie teraz...

— Proszę zachować tę gadkę dla kogoś, kogo to obejdzie, panie wicedyrektorze sekcji, bo ja już mam jak na ten miesiąc potąd takich protekcyjnych pierdół. — Zrobiła krok w bok i wskazała kciukiem za siebie. — W środku.

Will ugryzł się w język; użeranie się z nią do niczego nie prowadziło.

Za jego plecami leżąca na podłodze szeregowka Dickson dochodziła właśnie z jękiem do siebie. Upewnił się, że wie, jaki to dzień, i że poznaje, ile palców jej pokazał, po czym wprowadził grupę specjalną do męskiej ubikacji.

Było to brudne pomieszczenie, w którym metaliczna woń świeżej krwi mieszała się z porażającym smrodem uryny. Kafelki, niegdyś białe, były teraz upaprane plamami ciemnowiśniowego koloru. Powietrze roiło się od pękatych much zataczających leniwie obszerne kręgi. Para młodszych gliniarzy stała w kącie, starając się pozostać jak najbardziej na uboczu. Jeden z nich miał pobladłą, zszarzałą twarz i dygotał. Kiedy Beaton i Stein rozpoczęły montaż sprzętu do skanowania, Will zrozumiał, jaka była tego przyczyna. Zapach był ohydny, ale widok był jeszcze gorszy.

— Czy ciało było w takim stanie, kiedy je znaleźliście?

— Nie, było nienaruszone. Poszatkowaliśmy je, żeby się trochę rozerwać — powiedział głos za jego plecami.

Więc to tak? Pieprzyć to, skoro gliny chcą walki, to ją dostaną.

— Dobra — powiedział, odwracając się powoli. — Mam już dosyć twojego dosrywania. Jesteśmy tu, bo musimy, a *nie* dlatego, że chcemy. Ty... — zawiesił głos.

Spodziewał się kolejnego typu w niebieskim mundurze, chowającego w sercu gigantyczną *urazę*, ale zamiast tego jego oczom ukazał się najbardziej wściekle zielony strój, jaki było mu dane kiedykolwiek zobaczyć. Miała go na sobie kobieta o wroście trochę powyżej średniej i o skórze koloru kawy z mlekiem. Włosy miała związane na szczycie głowy w asymetryczny kok — zgodnie z najnowszą modą. Na jej twarzy malował się wyraz niemal równie nieprzyjemny, co jej wdzianko.

— Ach, rozumiem. — Skrzyżowała ramiona na piersi. — Cóż za niesprawiedliwość, że ściągnęli pana aż tutaj i kazali się użerać z plebem. Tak myślicie w Organizacji? Życie szaraczków się nie liczy? Jesteśmy dla pana tylko motłochem ze slumsów? — Jakimś sposobem skurczyła wszystkie mięśnie twarzy w wilczym grymasie.

Will wyburczał odpowiedź, ani razu nie podnosząc głosu:

— Nie chcemy tu być, ponieważ wczoraj rozerwało na strzępy jednego z naszych. Nie chcemy tu być, ponieważ właśnie w tej chwili mieliśmy wyprawiać mu pogrzeb, a ja miałem opowiadać jego żonie i córce, jakim był wspaniałym człowiekiem. — Podszedł bliżej, patrząc pani Zielone Wdzianko prosto w oczy. — Nie chcemy tu być, bo to nie jest zadanie dla Organizacji. Ale jakiś skretyniały liczykrupa postanowił obciąć wasz budżet i zwalić całą dodatkową robotę na nas, no to przylecieliśmy. A ja nie mam czasu ani ochoty, żeby się z tobą na ten temat wyklócać. Muszę stawić się na pogrzebie.

Kobieta przyglądała mu się uważnie przez kilka chwil, przechyliwszy głowę. Z jej twarzy ustąpił w końcu wyraz niezadowolenia.

— Rozumiem. — Wycelowała palec wabinę ubikacji utyflanej we krwi jak jakaś rzeźnia. — Ofiara to biały mężczyzna. Około 170 cm wzrostu i 80 kg wagi.

Will otworzył drzwi kabiny na oścież. Zmasakrowany zezwłok leżał odchylony do tyłu na muszli klozetowej, na kompletnie zakrwawionej podłodze wałały się porozrzucone tu i ówdzie lepkie strzępy mięsa i wnętrzności, na ścianach zaś, od podłogi do samego

sufitu, ciągnęły się czarno-szkarłatne smugi. Jedyne z najwyższym trudem dawało się rozpoznać, gdzie znajdowała się głowa. — Łał...

— Kłatkę piersiową rozpruto nożem o długości przynajmniej dwudziestu centymetrów, prawdopodobnie o ząbkowanym ostrzu. Brak jakichkolwiek śladów tego narzędzia na miejscu zbrodni. Organy wewnętrzne zostały wydarte i posiekane. Obydwa uda pokrywa gęsta sieć głębokich nacięć.

Will przykucnął przed poszarpanymi zwłokami, wpatrując się w rozprutą kłatkę piersiową.

— Coś jeszcze?

— Zęby i kości szczęki zostały pogruchotane jakimś tępym narzędziem. Coś zostało wepchnięte w głąb jamy ustnej, zdaje się, że to genitalia, ale nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, dopóki twoi ludzie nie skończą skanowania. Nie mam pojęcia, gdzie się podziały oczy.

W niskim, cuchnącym pomieszczeniu zamigotało nagle ostre światło, kiedy Steinowi i Beaton udało się wreszcie zmontować sprzęt do skanowania. Za chwilę miało się tu zrobić naprawdę głośno.

Hunter podniósł się z powrotem do pionu.

— Zgodzisz się pewnie — odezwała się pani Zielone Wdzianko, przechodząc ostrożnie między porozciągany na klejących się kafelkach kablami — że wygląda to na chaotyczny atak w amoku. Pod wpływem furii. Zabójca to moim zdaniem biały mężczyzna, między dwudziestym czwartym a trzydziestym drugim rokiem życia. Niechluj. Mieszka samotnie albo ze swoją matką. Matka nie ma pojęcia o jego działalności. — Nie musiała dodawać, że sprawca jest bezrobotny, po tej stronie rzeki można to było uznać za pewnik.

Will uśmiechnął się — kobieta przedstawiła klasyczny profil seryjnego zabójcy, prosto z podręcznika kryminologii.

— Wiem, że to nie moje śledztwo, ale czy jesteś *pewna*, że zabójca działał chaotycznie?

— Jasne, że tak. Atak był tak zdezorganizowany, że wyklucza inne opcje.

Hunter wskazał na zwłoki.

— Spójrz na dłonie.

Zmarszczyła brwi.

— Co masz na myśli?

— Opuszki palców zostały zgniecione na miazgę, więc nie możemy zdjąć odcisków. Szczęka została zdemolowana, więc nie możemy przeprowadzić identyfikacji na podstawie uzębienia. Oczy zniknęły, więc nie możemy zeskanować siatkówek. Tożsamość ofiary zdołamy poznać tylko, jeśli była notowana i mamy w archiwum jej DNA. Jeżeli nie, istnieje spore ryzyko, że nigdy nie zdołamy się dowiedzieć, kto to był.

Kobieta przez chwilę bezgłośnie poruszała ustami.

— Czyli zabójca musi być wystarczająco zorganizowany, by zatrzeć po sobie ślady.

— Co najmniej na tyle.

Aparat skanujący zaterkotał z cicha i piknął, a potem zapadła cisza. Stein rzucił pod jego adresem zwięzłą litanię przekleństw i wymierzył mu soczystego kopniaka. Maszyna ponownie wystartowała, warcząc i brzęcząc niczym oddział geriatryczny dotknięty epidemią kataru, do którego ktoś wpuścił stado os.

— Dobra, ludzie — Beaton nacisnęła przełącznik znajdujący się z boku obudowy. — Czas opuścić to pomieszczenie, jeśli nie chcecie zostać unieśmiertelnieni poprzez słynne skanowanie inwazyjne.

Wszyscy podreptali pospiesznie na korytarz, omijając wybity w podłodze otwór, by na zewnątrz zaczekać na efekty pracy skanera. Niski, flegmatyczny warkot przeszedł teraz w ogłuszający wizg — zamknięte drzwi nieco tłumili hałas, ale tylko nieznacznie.

Chmura betonowego pyłu opadła, pokrywając wszystko i wszystkich cienką warstwą szarego kurzu o konsystencji piasku. Szeregowa Dickson trzymała się na uboczu, tuląc do siebie swój miotacz i najwyraźniej chowając w sercu solidną urazę; spoglądała spode łba na policjantkę, która zafundowała jej terapię elektrowstrząsową.

Pani Zielone Wdzianko pochyliła się ku Willowi i powiedziała coś, czego nie udało mu się dosłyszeć.

— Co?

— DLACZEGO NIE ZADZWONIŁEŚ? Aby jej głos mógł prze-  
drzeć się ponad wycie skanera, musiała mu krzyczeć prosto do ucha.

— CO? KIEDY MIAŁEM ZADZWONIĆ?

— KIEDY WPADLIŚCIE DO UBIKACJI. DLACZEGO NIE  
ZADZWONIŁEŚ, BY NAS POWIADOMIĆ, ŻE SIĘ ZJAWICIE?  
GDYBYŚ ZADZWONIŁ, TWOJA LASKA NIE WYŁAPAŁABY  
STRZAŁU Z PARALIZATORA.

Will zaklął pod nosem.

— No... — Nie przychodziła mu do głowy żadna dobra wymówka,  
więc umilkł, czekając w ciszy, jak cała reszta.

Podłoga pod ich stopami zadygotała rozwibrowana infradźwię-  
kami, a Hunter przymknął oczy i oparł się o ścianę. Dzięki temu nie  
musiał spoglądać na dużą dziurę ziejącą w podłodze ani na rozgnie-  
waną twarz Dickson. Dobrze, że gliniarzom nie wolno było stosować  
nic groźniejszego od paralizatorów, bo Willowi doszłaby jeszcze jedna  
mowa pogrzebowa. I w tym przypadku byłoby tak całkowicie z jego  
winy. Co za głupota...

Dudniące skanery zaburzały wreszcie, po czym piknięciem obwie-  
ściły koniec operacji.

— Dobra, mamy to. — Stein wetknął palec do ucha i powiercił  
nim kilka razy. — Daj nam dwie minuty na spakowanie sprzętu,  
i możemy spadać do domu.

Wpakowali się z powrotem do obryzgananej krwią ubikacji, starając  
się, jak tylko mogli, nie pętać się pod nogami Beaton i Steinowi, którzy  
pośród przekleństw upychali sprzęt do futerału, by potem wywalić go  
na korytarz, pod opiekę szeregowej Dickson. Beaton wyciągnęła worek  
na zwłoki i, kucnąwszy, zaczęła zbierać z klejących się kafelków strzępy  
czerwonego i purpurowego mięsa.

Po usunięciu sprzętu do skanowania Will mógł wreszcie przyjrzeć  
się całemu temu brudnemu pomieszczeniu. Pokruszone umywalki.  
Ściany pokryte graffiti. Popękane lustro. Na podłodze walało się  
mnóstwo martwych much; małe błyszczące owady okazały się zbyt  
słabe, by przetrwać skanowanie. Wszystko pokrywała krew. Hunter nie  
zazdrościł biednemu sukinsynowi, który będzie musiał tu wszystko  
wyczyścić, kiedy ich ekipa się stąd zmyje...

Zmarszczył brwi. W kącie stały porzucone przybory do sprzątania: mop, wiaderko na kółkach, szczotki do szorowania, duży pojemnik z przemysłowym środkiem dezynfekującym.

— Co stało się z ubezwłasnowłowionym?

Brwi ubranej na zielono policjantki uniosły się do góry.

— Z ubezwłasnowłowionym?

Will wskazał na mop i wiaderko.

— Znasz w tej części miasta jakichś innych chętnych do szorowania kibli?

— Cholera. — Zacisnęła mocno wargi. — Każę komuś, żeby się tym zajął.

Już dwa razy przyłapał ją na przeoczeniu. Trzeba będzie z tym uważać, żeby nie ożywić dawnej wrogości.

— No jasne — powiedziała, podczas gdy Will przeprowadzał ostatni obchód miejsca zbrodni. — Ubezwłasnowłowieni ciągle się tutaj gubią. Jesteśmy niemal pewni, że to sprawka lokalnych gangów. Łapią ich, torturują przez parę dni, a potem zabijają. Nigdy nie udało nam się na to zdobyć jakiegoś dowodu, ale wiemy, że to robią. — Zaniósła się krótkim śmiechem. — Możesz wierzyć lub nie, ale krążą pogłoski, że oni ich zjadają. Coś w rodzaju rytualnej orgii kanibalistycznej. Dasz wiarę?

Coś zimnego spęzło Willowi po kręgosłupie. Brakowało jeszcze tylko, by w ciemności zadudniły sklecone z byle czego bębny. Korytarsze. Śmierć. Krew. Uczucie, jakby jego serce wbijało mu w pierś zarzewiałe gwoździe.

Przetarł dłonią wilgotne czoło i odwrócił się, by sprawdzić, czy Beaton i Sanders zdążyli się już uporać ze swoją robotą, żeby wszyscy mogli wreszcie stąd spadać... gdy wtem coś go zatrzymało.

Jego ludzie właśnie wpychali tułów ofiary do worka na zwłoki. Uniform Beaton okrywała cieniutka warstewka pyłu, a na chromowanych guzikach czerwieniły się krwawe plamy. Will wyciągnął rękę i powstrzymał ją przed zapięciem pokrowca.

W jego pamięci odżyło jakieś wspomnienie, coś mrocznego i znajomego.

— Coś nie tak?

Coś, z czym miał już wcześniej do czynienia.

— Co? A, nie... nic.

Cofnął się i pozwolił Beaton zamknąć worek. Rozległ się zgrzyt ostatniego zatrasku i zmasakrowana twarz ofiary zniknęła w czeluściach pokrowca.

Coś tu *było*. Coś na wpół mu znanego, czego nie potrafił jednak uchwycić.

Coś, co zabijało już w przeszłości.



# PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW  
w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**


# UBEZWŁASNOGŁOWIENI

Przestępcy skazani na chirurgiczne okaleczenie, poddani lobotomii i oddelegowani do wykonywania prac społecznych. Odczłowieczeni nieodwołalnie, bez prawa do ulaskawienia. I bez powrotu do normalności. Tylko czy na pewno?

Jedna z najgroźniejszych seryjnych morderczyń, pałająca żądzą zemsty doktor Fiona Westfield, po sześciu latach wraca do świata zwykłych ludzi...

Chwila, w której Will Hunter, wysoki oficer w strukturach służb specjalnych Wielkiej Brytanii, ponownie wchodzi do Sherman House, należy do najgorszych w jego życiu. To miejsce budzi w nim demony, wyzwala wspomnienia, z którymi od lat nie może sobie poradzić. Okoliczności, w jakich trafia do dawniej ekskluzywnego, a dziś zapuszczonego budynku w niebezpiecznej, stojącej na krawędzi rewolty dzielnicy Glasgow, nie ułatwiają zadania. Will ma pomóc w ustaleniu sprawcy przerażającego morderstwa, które tu popełniono. Rozpoczyna szaleńczy pościg za zabójczynią. Już raz ją schwytał. Teraz, po latach, nadszedł czas jej zemsty. Śledztwo ujawnia coraz mroczniejsze tajemnice. Czy Will zdoła zatrzymać rozkręcającą się spiralę bestialskich zbrodni?

 **editio**black

 **Księgarnia internetowa:**  
**<http://editio.pl>**

 **Zamówienia telefoniczne:**  
**0 801 339900**  
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:

- 🔗 <http://editio.pl/promocje>
  - 📖 <http://editio.pl/bestsellery>
- Zamów informacje o nowościach:  
🔗 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel.: 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:

**ebookpoint**PL



ISBN 978-83-283-2526-5



Cena 39,90 zł